

Niewyuczalność pomieszana z cwaniactwem.

Rozmowa o powodziach z dr. Andrzejem Jermaczkiem

To już kolejna „powódź stulecia”. Dlaczego nie uczymy się na błędach?

Andrzej Jermaczek: W kwestii powodzi wydajemy się niewyuczalni. Od dziesiątków lat politycy, hydrotechnicy i wszelkiej maści technokraci powtarzają jak mantrę, że wały, tamy, coraz to wyższe, gigantyczne zbiorniki i budowle hydrotechniczne, uchronią nas od powodzi. Społeczeństwo, choć w innych sprawach podejrzliwe, w to akurat wierzy. Kupuje działki, buduje domy, drogi i fabryki kilka metrów poniżej poziomu rzeki. Bo przecież za wałami jest bezpiecznie. Tymczasem coraz częściej przekonujemy się, że ta wiara to czysta naiwność i głupota. Nad Narwią, Biebrzą i Bugiem powódź jest co roku, ale tam ludzie w dolinach mają łąki, a domy stawiają na wzgórzach. Tej mądrości nauczyło ich życie i prosta obserwacja przyrody. Zachowali odrobinę pokory wobec przyrody, wiedząc, że nie cała przestrzeń należy do nas, że czasem trochę trzeba ustąpić przyrodzie. Współczesny człowiek „Zachodu” jest butny, pewny, że przyrodę można okiełznać, ujarzmić, ufa w swoje nieograniczone możliwości techniczne. A przyroda co jakiś czas udowadnia, że jednak się mylimy. I wszystko wskazuje na to, że będzie nam to pokazywać coraz częściej.



Andrzej Jermaczek. Fot. Alma Szafnagel-Wołejko

Wciąż forsowana jest regulacja rzek i potoków oraz budowa gigantycznych zbiorników hydrotechnicznych. Mimo coraz bardziej wyregulowanych rzek, nie chroni to nas przed wielką wodą...

Trudno powiedzieć, co o tym decyduje bardziej – czy niedouczenie społeczeństwa, czy cwaniactwo i cynizm zwolenników hydrobetonu, urzędników i inwestorów. Ciągłe liczni są politycy budujący swój kapitał na emocjach, ludzkiej tragedii i naiwności, na obietnicach, że tym razem to oni już „załatwią” bezpieczeństwo – jeszcze wyższe wały i jeszcze większe zbiorniki. Ciągłe deweloperzy budują i sprzedają ludziom coraz to nowe „Kozanowy”. Ciągłe samorządowcy wydają decyzje lokalizacyjne w miejscach, które z góry są skazane na zalanie. Trudno w to uwierzyć, ale decyzje takie wydawano nawet podczas trwania ostatniej powodzi. Na inwestycje w miejscach, gdzie w chwili wydawania decyzji stała woda! No i ciągle całkiem dobrze ma się lobby, któremu „czyszczenie rowów”, projekty wałów do nieba i realizacja gigantycznych inwestycji napędzają koniunkturę. Wszystkich ich słychać dziś w radiu, telewizji, na konferencjach prasowych i zebraniach sołeckich. Tymczasem liczony w miliardach koszt budowy jednego tylko zbiornika retencyjnego, to kwota, jaka wystarczyłaby na odtworzenie kilkunastu tysięcy hektarów mokradeł, wykup kilku tysięcy hektarów gruntów i retencjonowanie (w sposób bezpieczny!) wody w ilości kilkakrotnie przekraczającej pojemność zbiornika. Projekty przyjaznej przyrodzie ochrony przeciwpowodziowej powstają na razie na małą skalę, trzeba jednak wierzyć, że już wkrótce staną się one powszechną praktyką przeciwdziałania powodziom.

Jakie rozwiązania należy zastosować, aby zminimalizować skutki wylewów?

Przede wszystkim skończyć z odpychaniem wody jak najdalej od siebie. Bo przecież najważniejsze jest, żeby sprawnie i szybko spłynęła z mojej łąki, nie zalała mojego pola, działki, szybko przepłynęła

przez naszą wieś, gminę czy miasto – „nasze” Opole, Wrocław, Kraków czy Warszawę. A niżej nas? Choćby potop! Więc czyścimy rowy, pogłębiajemy ciekę, sypujemy wały, kanalizujemy rzeki, kopujemy kanały ulgi, wycinamy zadrzewienia na międzywałach. Zatrważające są czasem powszechnie panujące w społeczeństwie, trudne do wykorzenia, poglądy. Podczas ostatniej powodzi media publiczne, które mają przecież misję edukowania społeczeństwa, z lubością dziesiątki razy puszczały nagrania, w których ludzie wykrzykiwali, że jest powódź, bo... nie czyszczono rowów. Powódź była, bo nadmiernie czyszczono rowy, bo woda, która spada z deszczem, spłynęła do rzek w kilka godzin zamiast w ciągu tygodnia. Czy tak trudno to zrozumieć?

Z tym wszystkim trzeba skończyć. Wodę trzeba zatrzymać wszędzie, gdzie się tylko da nie powodując istotnych szkód, trzeba pozwolić jej się wlać, swobodnie rozlać i wsiąknąć. Na masową skalę musimy zacząć propagować mikroretencję i odtwarzać tereny podmokłe. W ciągu ostatnich kilkuset lat powierzchnia mokradeł, tej olbrzymiej gąbki chłonej wodę, skurczyła się w Polsce o 2/3. To jest prawdziwa przyczyna powodzi. Ten trend musimy odwrócić.

Odtwarzanie terenów podmokłych nie jest przeważnie ani drogie, ani technicznie skomplikowane. W prowadzonych przez Klub Przyrodników projektach ochrony mokradeł w ciągu niespełna 15 lat odtworzyliśmy ich kilkanaście tys. hektarów. Wraz z retencją gruntową gromadzimy one kilkanaście milionów metrów sześciennych wody. A to przecież tylko działania jednej niewielkiej organizacji. Podobne projekty prowadzą inni, m.in. wiele jednostek Lasów Państwowych. Gwarancję tego, że woda nie zaleje Wrocławia, Krakowa i Sandomierza uzyskamy tylko wtedy, kiedy wysoka fala do nich nie dotrze. Zapewnić to może tylko podejście zintegrowane, łączące ochronę przyrody, gospodarkę wodną, rolną i leśną i przede wszystkim planowanie przestrzenne, jakże ostatnio w Polsce kulejące. O podejściu zintegrowanym mówi się od lat, niestety od lat są to puste słowa.

Warto tu też wspomnieć o bobrach, wyklętych podczas ostatniej powodzi. Pojemność retencyjna ich rozlewisk to w Polsce co najmniej kilkadziesiąt milionów metrów sześciennych wody. Pan Minister Spraw Wewnętrznych i Administracji, zamiast je wyklinać, powinien im więc podziękować.

Górne odcinki zlewni i stan lasów budzą poważne zaniepokojenie. Czy nie jest tak, że klucz do zmniejszenia fali powodziowej tkwi właśnie tam?

Kilka lat temu w Sudetach, niewielki, spokojny dotychczas strumyk zaczął nagle w godzinę po każdym deszczu gwałtownie wzbierać i zalewać leżącą nad nim wieś. Co się okazało? Że w górnej części jego niewielkiej zlewni „inwestor” utwardził i wyasfaltował kilkanaście hektarów gruntu.

Oczywiście o zapobieganiu powodziom należy myśleć przede wszystkim w górach i na pogórzu, bo to tam one najczęściej powstają. Rozwiązaniem nie są jednak gigantyczne, sztuczne zbiorniki, które same, w przypadku przerwania trzymających je umocnień, spowodować mogą katastrofę, jakiej jeszcze nie widzieliśmy. Cała tajemnica tkwi w tym, że wody nie należy, jak to dotychczas robimy, poganiać – jej spływ trzeba wszelkimi sposobami spowalniać. Trzeba ją zatrzymać w podmokłych lasach, na łąkach, torfowiskach, w szerokich, naturalnych, zalesionych dolinach rzek i potoków. Wszędzie tam różne nasze interesy muszą zostać podporządkowane wodzie. Tymczasem w prawie wszystkim, co dziś robimy, ciągle dominuje trend przeciwny. Wciąż systematycznie zamykamy wodę w betonowych, wąskich korytach, kawałek po kawałku odcinamy wałami fragmenty zalewanych dolin, na międzywałach wycinamy ostatnie kawałki łągów czy zarośli.



Fot. Marta Jermaczek

słyszałem, żeby ktoś, przy okazji tematyki powodziowej, choćby wspomniał o retencji gruntowej. Tymczasem to właśnie od niej w dużej mierze zależy, czy kolejna powódź zaleje kolejne wsie i miasta. Skuteczne działania przeciwpowodziowe i mikroretencyjne w górach nie są łatwe, wymagają kompleksowości i konsekwencji, muszą być prowadzone na dużych obszarach. Z górskiej zlewni niezalesionej i zurbanizowanej, pozbawionej mokradeł i naturalnych przeszkód hamujących energię mniejszych i większych cieków, woda spływa kilkanaście razy szybciej niż ze zlewni naturalnej. Musimy dążyć do tego, żeby w górnych, szczególnie górskich i podgórskich częściach zlewni, a także potencjalnie zalewowych dolinach dużych rzek, a więc na kilkunastu procentach powierzchni południowej części kraju, bezwzględnie dominowała funkcja łącząca w sobie naturalną ochronę przeciwpowodziową i skuteczną ochronę przyrody – zabezpieczającą teren przed zawłasczeniem na inne cele i przekształceniem. Dopiero wtedy będzie naprawdę bezpiecznie.

List otwarty środowisk ekologicznych do rządu, parlamentu, władz samorządowych i mediów to wyraźny głos, by powstrzymać zabudowę terenów zalewowych, opracować mapy ryzyka, oddać przestrzeń rzekom i w większym stopniu uwzględniać wiedzę naukową i doświadczenia innych krajów. Czy realizacja tych postulatów to szansa na lepsze współżycie człowieka z rzekami?

Powodzie, jak każda tragedia, wyzwoliły lawinę analiz i pseudoanaliz, poszukiwanie przyczyn i winnych. Jednak w tym całym medialnym szumie, coraz częściej i wyraźniej przebijają się głosy rozsądku, mówiące, że ani bobry, ani ekolodzy nie są przyczyną nieszczęść. Wskazujące coraz dobitniej, że realnej ochrony przed powodzią nie zapewni nam ślepa wiara w skuteczność techniki. Zapewnić ją może tylko radykalna zmiana dotychczasowego podejścia do przyrody. Takim głosem, głęboko przemyślanym, popartym faktami i formułującym konkretne propozycje, jest wspomniany list. Miejmy nadzieję, że tym razem zostanie usłyszany.

Dziękuję za rozmowę.

Dr Andrzej Jermaczek jest biologiem, autorem lub współautorem kilkunastu książek o ochronie przyrody, kilkuset artykułów, opracowań i ekspertyz, m.in. wydanego w ubiegłym roku „Poradnika ochrony mokradeł w górach”. Pracuje w Klubie Przyrodników, którego do ubiegłego roku, przez 25 lat, był prezesem.



Kolumna dofinansowana przez Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach.